PAŹDZIERNIK 1974

W październiku 1974 roku w powietrzu było już widać nadchodzącą zimę - ostrą, wilgotną, taką, która wdziera się do płuc i zostaje w środku. Adam Leszczyński szedł wolno, ręce trzymając w kieszeniach płaszcza. Nie spieszył się. W takich sprawach nie wolno się spieszyć. Szybki krok zwraca uwagę. Na skrzyżowaniu skręcił w wąską ulicę między starymi kamienicami. Od frontu - obdrapane tynki, zapach piwnic i mokrych liści. Od podwórza - pustka, kilka starych drzew, i ten jeden, nowy, pięciopiętrowy blok z wielkiej płyty. Wśród ludzi z resortu mówiło się, że to inwestycja „dla swoich". Przed wejściem czekał już na niego człowiek z wydziału kwaterunkowego, pan Głogowski. Człowiek bez wyrazu. Urzędnik, którego twarz zapominało się w sekundę po odejściu. Adam znał go od lat - czasem załatwiał sprawy szybciej niż pozwalały na to przepisy, czasem wolniej niż pozwalał zdrowy rozsądek.

- Klucze ma pan? - spytał Adam cicho.

- Mam. Ale... - Głogowski rozejrzał się - ...w papierach jeszcze figuruje stara lokatorka.

- Wyjechała?

- Do RFN. Od pół roku. Tylko oficjalnie jeszcze nie wykreślona.

Adam skinął głową. - To dobrze.

Mieszkanie było na drugim piętrze. Drzwi ciężkie, z okleiną, której kolor dawno stracił nazwę. Zamek skrzypnął, gdy Głogowski przekręcił klucz. W środku - chłód, echo pustki. Gołe ściany, szary parkiet, w kuchni stary zlew z odpryskami emalii. Okna wychodziły na wewnętrzne podwórze - idealne. Żadnego ruchu, żadnych gapiów. Adam przeszedł przez wszystkie pokoje. W sypialni zatrzymał się przy oknie. Z tej wysokości widać było tylko ścianę sąsiedniego bloku i kawałek nieba. Bezpieczne miejsce. Bez historii. Bez sąsiadów, którzy patrzą zbyt uważnie.

- Podoba się? - spytał Głogowski.

- Nada się.

Formalności były kwestią czasu. Adam wiedział, że nie może pozwolić, by to mieszkanie poszło jako lokal resortowy - wtedy nigdy nie byłoby naprawdę jego. Musiał mieć je „na czysto". Prywatne. Takie, którego adres nie widnieje w żadnej z teczek służbowych.

Tydzień później w urzędzie kwaterunkowym pojawił się dokument zamiany - fikcyjny. Na papierze wyglądało to tak, jakby Adam oddał niewielki lokal przy Ołbińskiej, a w zamian otrzymał ten. Fikcyjny poprzedni właściciel był figurantem - człowiekiem, który nigdy w nim nie zamieszkał, ale podpisał, co trzeba. Resztę załatwił wydział kadr w komendzie wojewódzkiej. Kilka pieczątek, dwa podpisy w spółdzielni mieszkaniowej. W ciągu miesiąca Adam miał dokument potwierdzający przydział - w trybie „pilnym", z adnotacją: potrzeby kadrowe.

Maria o niczym nie wiedziała. W domu Leszczyńskich nie rozmawiało się o tym, co Adam robił „w pracy". Nie było powodu. Nie było też pytania, na które chciałby odpowiadać.

W nowym mieszkaniu, na początku, pojawiał się rzadko. Trochę, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Trochę, żeby poczuć, że ma przestrzeń, w której nie musi grać żadnej roli. Z czasem urządził jeden z pokoi. Biurko, szafa na dokumenty, zielona lampa. W rogu, pod ścianą, zostawił miejsce na coś większego - ciężkiego, stalowego. Wiedział, że prędzej czy później będzie tam stała szafa pancerna. To mieszkanie było jego punktem bezpiecznym. Miejscem, w którym można było rozłożyć dokumenty na całą szerokość stołu i zostawić je na tydzień. Miejscem, w którym nikt nie zadawał pytań i nikt nie wchodził bez pukania. Miejscem, które - gdy nadejdzie czas - miało stać się sercem jego własnej służby. Nie resortowej. Prywatnej.

ARCHIWUM SŁUŻBA

Fragment ukończonego maszynopisu przed redakcją wydawniczą